

PISMO OZ NSZZ „SOLIDARNOŚĆ” W POLITECHNICE WARSZAWSKIEJ

Nr25/2013/52-e

Wydanie specjalne

28.10.2013

***Zmarł Tadeusz Mazowiecki -
pierwszy redaktor naczelny
„Tygodnika **SOLIDARNOŚĆ**”***

Nasz „**Tygodnik Solidarność**” – był jednym z pierwszych niezależnych czasopism wydawanych w okresie PRL. Pierwszy numer ukazał się 3. kwietnia 1981 roku w nakładzie 500000 egzemplarzy. Pierwszym redaktorem naczelnym był Tadeusz Mazowiecki.



3. kwietnia 1981 roku

Ukazało się 37 numerów „**Tygodnika**” oraz wkładka do niewydanego już bożonarodzeniowego numeru 38-39. Pomiedzy 13. grudnia 1981 a czerwem 1989 roku wydawanie pisma zostało zawieszone przez władze PRL. Wkrótce po wyborach do Sejmu kontraktowego 4. czerwca 1989 roku „**Tygodnik**” został reaktywowany również pod redakcją Tadeusza Mazowieckiego.

Zmarł Tadeusz Mazowiecki -

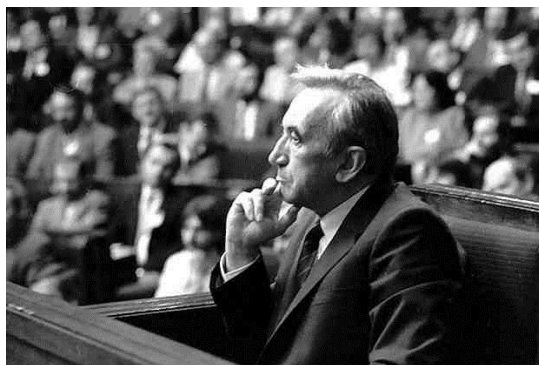
...pierwszy niekomunistyczny premier Polski

19. sierpnia 1989 roku.

>Prezydent Wojciech Jaruzelski przedstawił Tadeuszowi Mazowieckiemu propozycję objęcia urzędu prezesa Rady Ministrów PRL, jednocześnie przyjmując rezygnację Czesława Kiszczaka. Temu ostatniemu wyraził uznanie za dotychczasowe starania zmierzające do utworzenia nowego rządu< - dowiedzieliśmy się z „Dziennika Telewizyjnego” z 19. sierpnia 1989 roku.

24. sierpnia 1989 roku

Tadeusz Mazowiecki został powołany przez Sejm na urząd premiera.



Sejm

Dlaczego nie skreśliłem zdania o "grubej linii"?

[TEKST TADEUSZA MAZOWIECKIEGO]

Tadeusz Mazowiecki

Dlaczego mimo ostrzeżeń, jakie wyrażali najbliżsi mi ludzie, nie skreśliłem zdania o "grubej linii", którą odkreślamy "przeszłość"? Tekst Tadeusza Mazowieckiego z 2009 r.

20 lat po wypowiedzeniu w Sejmie 24 sierpnia 1989 r. słów o "grubej linii, którą odkreślamy przeszłość" muszę raz jeszcze zmierzyć się z problemem, jaki wokół tego zdania narósł i utrwalił się w świadomości wielu ludzi. Najłatwiej byłoby powiedzieć, że to była retoryczna pomyłka i przyznać się do błędu. Zapewniłoby mi to z pewnością więcej spokoju. Jednak tego nie uczyniłem i nie zamierzam uczynić, a na każdym spotkaniu, na którym pada pytanie o grubą kreskę, odpowiadam, że i dziś postąpiłbym tak samo. Obecnie jest to zresztą nie tylko spór z przeszłości, lecz i sformułowana przez zwolenników IV RP, polityków i publicystów teza o błędzie założycielskim III RP, którego skutki ciągną się do dziś. Przyznam otwarcie, że nieraz ogarniał mnie gniew, gdy słyszałem i czytałem, czemu to nie jest winna polityka grubej kreski. Patrzyłem na rodzenie się tego stereotypu, na uparte podtrzymywanie go jako wyjaśnienia źródeł zła w różnych dziedzinach życia publicznego, a w każdym razie zła, które legło u początków naszej drogi do wolności i niepodległości. Ze stereotypem trudno walczyć, posługiwanie się nim nie wymaga dowodu, przywołania złożoności sytuacji historycznej, wnikięcia w intencje wypowiedzianych słów i w sens polityki prowadzonej w określonych warunkach czasu i miejsca.

Twórcy i zwolennicy tego stereotypu uważają, że ideę tamtych słów trzeba napiętnować i odrzucić. W żadnym stopniu nie chcą dostrzec tkwiących w niej problemów, które nie było łatwo rozwiązać, tak by zaspokoić w pełni i poczucie sprawiedliwości, i bezpieczeństwo przejścia kraju przez trudny okres. I tak to, co miało być - i było - cechą naszej wielkości w owych przełomowych miesiącach, drogą do zespolenia narodu w jego trudnym przejściu do nowej rzeczywistości - za sprawą tego, co wyrażał ukuty stereotyp - wracało później jak bumerang niosący truciznę podziału i nienawiści.



Z konieczności muszę wrócić do tekstu źródłowego:

"Rząd, który utworzę - mówiłem wtedy w Sejmie - nie ponosi odpowiedzialności za hipotekę, którą dziedziczy. Ma ona jednak wpływ na okoliczności, w których przychodzi nam działać.

Przeszłość określamy grubą linią. Odpowiadać będziemy jedynie za to, co uczyniliśmy, by wydobyć Polskę z obecnego stanu załamania. Jestem świadom, że dla moich rodaków najważniejsze jest dziś pytanie, czy może być lepiej. Odpowiemy na to wszyscy".

Tyle tego tekstu. Jest on jasny i - literalnie biorąc - oznacza, że odtąd zaczyna się nowy początek. Podkreślenie tego, co dosłownie zostało wypowiedziane, nie wydaje się sprawą błahą, zwłaszcza że to najbardziej pierwotne znaczenie się w polemikach pomija. Powstaje pytanie, jak przyszły premier miał wówczas - w sytuacji pierwszego i jedyne go kraju, który dokonuje wyłomu w otaczającym nas obozie państw komunistycznych - określić, że przeszłość PRL zostaje za nami i rozpoczynamy nowy rozdział naszej historii. "Przejdzie jest trudne - mówiłem w tym samym przemówieniu - ale nie musi powodować wstrząsów. Przeciwnie - będzie drogą do normalności. Zasadę walki, która prędzej czy później prowadzi do wyeliminowania przeciwnika, musi zastąpić zasada partnerstwa. Nie przejdziemy inaczej od systemu totalitarnego do demokratycznego".

W tym stwierdzeniu, jak i w całym przemówieniu, a także w późniejszym exposé z 12 września, zawarta jest pewna filozofia polityczna przejścia od PRL do wolności i niepodległości. Łączy ona w sobie elementy polityczne i moralne. Ich spoiwo stanowi zaoferowanie demokracji wszystkim. I to zaoferowanie tak rozumiane, że nie jest to zabieg taktyczny, który w sprzyjającej chwili, gdy przyjdzie czas rozliczeń za przeszłość, zostanie zmieniony, lecz fundament nowego porządku.

Chodziło o rewolucję pokojową, a nie o rewolucję tout court, w której zwycięzcy spychają pokonanych do takiej pozycji, jaką im samym stwarzały dawne warunki: obywateli drugiej kategorii. Bardzo płytko patrzą na to ci, którzy sądzą, że była to lina ratunkowa rzucona członkom aparatu partyjnego czy wynik jakichś zobowiązań podjętych przy Okrągłym Stole. Nie doceniają oni tego, że w wielkich chwilach historycznych liczyć się muszą także zasady głębsze, które bardziej niż cokolwiek innego odróżniają czas przyszły od czasu przeszłego. Nie o ratowanie aparatu partyjnego chodziło, lecz o to, czy dwa i pół miliona członków PZPR i parę setek tysięcy innych ludzi związanych z dawnym systemem - co wraz z rodzinami stanowiło niemalą część narodu - zrozumie, że także oni objęci są perspektywą demokratycznej przemiany. Politycznie biorąc, perspektywa przeciwna, perspektywa wykluczenia i odwetu albo zostawienia sprawy niejasnej, jak i co będzie, groziła uruchomieniem wewnętrznego konfliktu, rodzaju wojny domowej, do rozpalenia której iskry by nie zabrakło. Ahistoryczne widzenie tamtego czasu w świetle ostatecznego upadku komunizmu jest rodzajem ślepoty politycznej i zwykłą manipulacją ludzkimi umysłami i uczuciami. Obóz komunistyczny istniał naokoło nas. W samej Polsce stacjonowały wojska radzieckie. Siły dawnej władzy były osłabione wstrząsem moralnym wyborów, ale bynajmniej nie zdeorganizowane. Dysponowały wojskiem, milicją, aparatem partyjnym, służbami specjalnymi. Nietrudno sobie wyobrazić, co mogłoby się stać, możliwość rzucenia iskry zapalnej jeszcze istniała.

Mieliśmy za sobą doświadczenia Węgier w 1956 r., Praskiej Wiosny w 1968, a także doświadczenie stanu wojennego. Ale nie sama obawa o powtórzenie się podobnych doświadczeń, lecz mocna wola, że tym razem musi się nam udać i że udać się może, nakazywały szukać takiej drogi, która przyniesie trwale zwycięstwo, a nie całopalenie dobrze znane z naszej historii. Zawsze w takich sytuacjach ważne jest pytanie: na ile wolno ryzykować narodem i na ile naród może sam ryzykować?

Nie było zresztą w Polsce wtedy nastroju, który uruchamiałby odwet. Żywa była tradycja pokojowej walki "Solidarności", jej etosu. Żywe było nauczanie Jana Pawła II, jego wiara w pokojowe przemiany i wartość dialogu. A także w perspektywę pojednania w narodzie, który nie ze swej woli włączony został w jałtański podział świata, ze wszystkimi tego konsekwencjami dla różnych biografii ludzi.

Wreszcie, tylko pokojowe i pozbawione wewnętrznych zaburzeń przejście do nowej sytuacji dawało Polsce miejsce ważne wśród narodów Europy i świata w okresie ówczesnego kształtowania się nowych relacji Wschód - Zachód. Polska, w której by szło ku załamaniu pokojowo prowadzonego procesu przemian, otoczona byłaby jedynie bezradnym współczuciem. Jesień Ludów odsunęłaby się na długo, a pucz Janajewa w Moskwie, który miał położyć kres pierestrojce Gorbaczowa, mógłby wydarzyć się dwa lata czy rok wcześniej, i to z groźniejszym skutkiem. Polska natomiast, której się ten proces powiedzie, dawała impuls do zmian w innych krajach obozu i zyskiwała polityczny szacunek i znaczenie. Dlaczego mimo ostrzeżeń, jakie wyrażali najbliżsi mi ludzie, nie skreśliłem zdania o "grubej linii, którą odgradzamy przeszłość"? Nie był to wynik nieczulego na argumenty uporu, lecz mocnego przekonania, że przywódca, jakim jest premier rządu, który staje przed społeczeństwem, by zyskać jego aprobatę, musi mieć odwagę wypowiedzieć, jaką drogą zamierza je prowadzić. Zwłaszcza w tak trudnej chwili historycznej. Nic też innego niż przekonanie, że była to droga właściwa, nie zmusza mnie dziś do podtrzymania tego stanowiska. Mimo fali krytyk, tych demagogicznych, ale i tych poważnych. Najpierw była aprobata. Zarówno w prasie polskiej, jak zagranicznej nie znalazłem wtedy krytycznego komentarza wobec nakreślonej wówczas linii postępowania. Żaden z późniejszych odkrywców szkodliwości tej linii wtedy się nie odezwał. Tak było też, jak sądzę, i w szerszym społecznym odbiorze, choć badań takich wtedy nikt chyba nie przeprowadzał. Zapewne jedni rozumieli tę linię głębiej, odczytując jej zarówno polityczny, jak i moralny wymiar, inni potraktowali jako zabieg przede wszystkim taktyczny w istniejącej sytuacji. Jeszcze inni nie zwrócili na ten fragment szczególnej uwagi, dopóki ex post im tego nie uświadomiono.

A potem przyszło zakwestionowanie i wielka manipulacja. Polityczna gra słowem i sensem wypowiedzianych słów, którym dopowiadano wszystko, co tylko można. Zakwestionowanie i manipulacja rozpoczęły się w toku wojny na górze, gdzieś w połowie 1990 roku, a potem wielokrotnie powracały. Drobiazg, że grubą linię zmieniono w grubą kreskę. Odtąd staje się ona zbitką pojęciową, jakiej się już nie wyjaśnia, bo na zasadzie oczywistości oczywistej wiadomo, za co jest odpowiedzialna i co ona znaczy: nierozliczenie komunizmu, penetrację całego polskiego życia przez dawnych funkcjonariuszy służby bezpieczeństwa, zмовę elit, które obsiadły pierwszą władzę wolnej Rzeczypospolitej. Jest też drugi poziom, który ta zbitka pojęciowa obejmuje i za który grubą kreskę także czyni się odpowiedzialną: rozkradanie Polski, niewydolność sądów, bezrobocie... Wielka manipulacja ma tu swoje najbardziej szerokie, populistyczne zastosowanie. W czasie gdy transformacja gospodarcza bardziej bolała, niż przynosiła już owoce, ten rodzaj manipulowania świadomością ludzi był przydatny. Słowa "gruba kreska", ten diabelski wymysł, stały się użyteczną maczugą dla uderzania w politycznych przeciwników. Niedaleko stąd do późniejszego osławionego zdania Jarosława Kaczyńskiego wypowiedzianego pod bramą Stoczni Gdańskiej: "My jesteśmy tu, gdzie wtedy, oni tam, gdzie stało ZOMO". Między stereotypem grubej kreski a złem, które ma pokonać IV RP, przeciągnięta została wiążąca je nić.



Byłbym nieuczciwy, gdybym, charakteryzując tych, którym nie spodobała się gruba kreska, poprzestał na tym, co poprzednio napisałem. Sprzeciw wobec niej usłyszałem także od ludzi dalekich od wszelkiej manipulacji używanej w politycznej grze. Były to wypowiedzi rzadsze i nie zawsze publiczne, ale - co chyba nietrudno zrozumieć - dla mnie bardziej jeszcze dotkliwe.

Pierwszą osobą, która po wygłoszeniu tego tekstu mi ten sprzeciw wyraziła, był... Jan Józef Lipski. Miało to miejsce na spotkaniu towarzyskim gdzieś chyba jesienią 1989 roku. Podszedł wtedy do mnie i powiedział: - Wiesz, z jednym nie mogę się zupełnie zgodzić z tobą: nie masz prawa wybaczać za naród. Byłem jak obuchem uderzony po usłyszeniu tego zdania i z zaskoczenia zamilkłem. Jan Józef odszedł gdzieś dalej, a już potem, przed jego śmiercią nie miałem sposobności z nim o tym rozmawiać. Nie przypisywałem sobie tymi słowami prawa wybaczenia za naród. Moim prawem i obowiązkiem natomiast było - uważałem - proponować drogę bezpieczną i oferującą demokrację wszystkim. Drogę, na której - owszem, w perspektywie - jest pojednanie.

Drugie ugodzenie, jakie mocno mnie zabolalo, nastąpiło ze strony Gustawa Herlinga-Grudzińskiego. Z panem Gustawem poznałem się bliżej przez Stefana Frankiewicza, który był ambasadorem polskim przy Watykanie, a wcześniej pracował w polskiej edycji "Osservatore Romano". Herling-Grudziński darzył go przyjaźnią, a Stefan był, podobnie jak ja, pod urokiem pisarstwa Herlinga i z wielkim szacunkiem odnosił się do jego życiowego heroizmu. O jednym i drugim zresztą wielokrotnie rozmawiał z Janem Pawłem II, który mówił o Herlingu zawsze z wielką estymą.

Kiedy przyjechałem do Rzymu, by jako premier złożyć wizytę papieżowi, odbyło się również spotkanie z szerokim gronem Polaków w ambasadzie polskiej przy rządzie włoskim. Miałem z tym problem protokolarny: trzeba było zmusić ambasadę do wysłania zaproszeń ode mnie, bo na zaproszenie ambasadora z dawnego rozdania, jaki jeszcze w Rzymie urzędował, Polonia emigracyjna by nie przyszła. Dla Herlinga było to ogromne przeżycie, po raz pierwszy przekraczał progi dotąd "reżimowej" ambasady. Przeżycie to przypłacił nazajutrz atakiem serca, z którego na szczęście wyszedł. Ale tego dnia był pogodny, moje słowa wypowiedziane do przybyłych mu się podobały, wyszliśmy do ogrodu i długo rozmawialiśmy o sprawach, które się dzieją w kraju. Myślę, że Herling znał już wtedy moje wystąpienia, także to z grubą linią, ale o tym nie wspominał.

Później, kiedy już jako osoba prywatna przyjeżdżałem do Włoch, bywałem u niego w Neapolu i znów długo rozmawialiśmy o sprawach polskich. Także o grubej kresce. Starłem się wyjaśnić mu moje intencje i ich sensu bronić. Był wtedy skonfliktowany z Adamem Michnikiem, ale nie tylko, bo także z Giedroyciem i "Kulturą" paryską, co bardzo przeżywał. Wtedy zresztą już pisywał w prasie krajowej. W "Rzeczpospolitej" w dodatku "Plus Minus" z 9-10 marca 1996 r. opublikował tekst polityczny złożony z 10 punktów zatytułowany "Dekalog". Tekstu tego - atakującego, choć z różnych powodów, i mnie, i Michnika, Geremka, Kuronia i Kwaśniewskiego - który stanowił fragment jego stałego "Dziennika pisanego nocą", wcześniej nie chciał mu opublikować Jerzy Giedroyc w "Kulturze", co stało się powodem zerwania ich współpracy. Przytoczę pierwszy punkt tego "Dekalogu", odnoszący się wprost do mnie: "Tadeusz Mazowiecki, pierwszy powojenny premier polski, słusznie za to szanowany, pozostanie już na zawsze wynalazcą nieszczęsnej 'grubej kreski'. Twierdzi, że został źle zrozumiany, ale jeśli społeczeństwo nie rozumiało swego premiera, to winny jest kto? Oczywiście premier. Odkreślił przeszłość, uniemożliwił konieczną lustrację i dekomunizację, przyczynił się do Zamazania. Ten inauguracyjny ciężki grzech będzie mu przez historię policzony obok licznych zasług".

We wcześniejszych niż przytoczony tekst naszych rozmowach w Neapolu Gustaw Herling-Grudziński powoływał się często na przykład Włoch, gdzie po kapitulacji dokonano rozliczeń z faszyzmem.

Uważam te dwie sytuacje za nieporównywalne. U nas otwarcie drogi do wolności i demokracji nastąpiło nie w wyniku kapitulacji wojennej, lecz wskutek otwarcia dokonanego przy Okrągłym Stole wolą obu stron, mimo wszystkich meandrów dochodzenia do tego rozwiązania. Czy mieliśmy zaraz potem rozpocząć dekomunizację naszych partnerów? Że to było i wewnętrznie, i zewnętrznie niebezpieczne i niemożliwe, starałem się dowieść już wielokrotnie.

Przypomina mi się w związku z tym wystąpienie kardynała Wyszyńskiego na soborze, w którym opisując swoim braciom z Zachodu sytuację Kościoła za żelazną kurtyną i niedotrzymywanie zawieranych porozumień, mówił, że różnica między zasadami cywilizacji zachodniej a komunizmem na tym polega, że komunizm nie uznaje zasady pacta sunt servanda.

A jednak aż do dziś słyszy się, że dekomunizacji należało dokonać od razu i że wtedy łatwiej było to zrobić niż później, choć wielu dzisiejszych krytyków przyjętych rozwiązań niedługo potem doszło do władzy. Nie wiem czemu w 1989 lub 1990 r., a więc w czasie gdy obóz państw komunistycznych trzymał się jeszcze całkiem nieźle nadzorowany przez Układ Warszawski i podtrzymywany przez obawę Zachodu, by rozpoczęte w Polsce zmiany nie zagroziły polepszającej się w ramach ówczesnej realpolitik koegzystencji Wschodu i Zachodu - czemu więc to właśnie wtedy, gdy gra szła o to, czy polskie ciągle jeszcze samotne przemiany się utrzymają, miało być łatwiej, niż później przeprowadzać lustrację i dekomunizację. Ale i taka opinia weszła w ten stereotyp o szkodliwości grubej kreski, który z czasem rozwijali także pewni intelektualisci, a bez refleksji powtarzali go nawet niektórzy biskupi. Łatwo zapomina się i ówczesne warunki, i że to przedstawiciele Kościoła obecni przy tych rozmowach dawali rękojmię, że pacta servanda sunt, to znaczy, że na obu stronach spoczywa odpowiedzialność za pokojowe urzeczywistnienie przyjętych ustaleń.



Te ustalenia zostały w dużej mierze nie tylko wypełnione, lecz i przekroczone. Ewolucyjna i pokojowa droga uczyniła możliwym, że przekroczenia te ułożyły się w logiczny ciąg wydarzeń prowadzących do zmiany ustrojowej, czego Okrągły Stół jeszcze nie przesądzał, a w każdym razie nie przewidywał, że stanie się to od razu. Od końca sierpnia i początków września 1989 r. to przede wszystkim my wzięliśmy odpowiedzialność za to, by przejście dokonało się bez zaburzeń i prowokacji. I oczywiście za to, by zmiana dokonywała się konsekwentnie. Zarazem mieliśmy do czynienia z postępującym rozprężeniem gospodarczym, czego wyrazem była rosnąca z dnia na dzień niemal w lawinowym tempie inflacja. Trzeba więc było przyjąć strategię rozwiązującą palące problemy dnia, ale równocześnie zdecydowanie prowadzącą dalej ku politycznej i gospodarczej zmianie ustroju. Czy można było opanować istniejącą sytuację i - w warunkach Sejmu kontraktowego - podjąć dzieło transformacji gospodarczej, rozpętując w tym samym czasie falę rozliczeń i dekomunizacji?

Nastąpiło odpartyjnienie państwa. Komórki PZPR zostały usunięte z urzędów i przedsiębiorstw państwowych. Dyspozycja polityczna znajdowała się odtąd w rządzie i tylko jemu podległej administracji. Obsada naczelných stanowisk, w tym urzędów centralnych i wojewodów, została zmieniona. Rozpoczęto zmiany w MSW, utworzenie UOP i weryfikację funkcjonariuszy SB, a w MON zlikwidowano pion oficerów polityczno-wychowawczych. Weryfikacją, choć nie dość rygorystyczną, objęto prokuratorów, a sądom zapewniono niezależność. Placówki dyplomatyczne zaczęli obejmować nowi ludzie. Prasa stała się wolna. Wyższe uczelnie uzyskały autonomię, a w szkołach przywrócono prawdę o historii najnowszej. Zasadniczą zmianę wprowadzały dwa procesy ustrojowe o podstawowym znaczeniu: transformacja gospodarcza i reforma samorządowa. Niosły one ze sobą wymianę ludzi. Słowem, proces polityczny ustanawiający demokrację i gospodarkę wolnorynkową dokonywał sam przez się dekomunizacji systemu. O lustracji nie było wtedy jeszcze mowy. Pastor Gauck, twórca systemu lustracyjnego w dawnej NRD, krytykując Polskę za opieszałość w przystąpieniu do lustracji i też obwiniając za to grubą kreskę, nie ma racji, a w każdym razie nie ma jej w pełni. Bo lustracja w dawnej NRD nastąpiła rok po rozpoczęciu polskich przemian, a rok znaczył w tamtym czasie bardzo wiele. I wiele też znaczyło, że za zmianami w NRD stała ustabilizowana i bogata Republika Federalna Niemiec, która po obaleniu muru berlińskiego zabezpieczała je politycznie i finansowo oraz zasilala kadrowo, co zresztą na długie lata pozostawiło tam problem Ossis - Wessis - czyli ukryty konflikt między mieszkańcami dawnej NRD a przybyszami z Niemiec zachodnich - i bynajmniej nie zlikwidowało istnienia komunistycznej partii.

Gruba kreska nie stała na przeszkodzie lustracji, takiej która dokonywana by była w granicach koniecznych dla państwa i w sposób cywilizowany.

Opór wobec niej wynikał z obawy, by lustracja nie stała się narzędziem politycznych gier. Z obawy, niepozbawionej podstaw, skierowania jej przede wszystkim nie przeciw ludziom odpowiedzialnym za łamanie ludzkich sumień, lecz do rozgrywek i walk, także wewnątrz samego obozu solidarnościowego. Jerzy Giedroyc mówił, że akta SB należy zamknąć na 50 lat. Podobnego zdania był Adam Michnik, który przestrzegał przed tym, co może się stać.

Ideę lustracji od początku skompromitowali sami jej najgorliwsi rzecznicy. Domniemanie niewinności zastąpiono praktyką zadawania śmierci cywilnej. Przecieki - na które zabrakło zdecydowanej reakcji - nagłaśniano z jakąś dziką satysfakcją w mediach. Nawet werdykt Trybunału Konstytucyjnego, który w 2007 r. ustalił zasady przeprowadzania lustracji zachowujące poszanowanie godności ludzkiej i prawa, został przyjęty przez zacietrzewionych zwolenników "lustracji bez skrupułów" jako obrona oplatającego Polskę, acz nigdy nie wykrytego układu.

Wszystko to nastąpiło później i ciągle jeszcze nie ma końca. Ale z niewiadomych powodów czyni się za to odpowiedzialnym tamten czas założycielski III Rzeczypospolitej. Sugeruje się nawet, że nosiła ta Rzeczpospolita charakter jakiegoś swoistego systemu postkomunistycznego czy jakiegoś bantustanu, a nie państwa prawa i rządów demokracji. Jan Olszewski, przemawiając po raz ostatni jako premier w Sejmie w czasie nocy teczek, stawiał pytanie: co jest ważniejsze: "Jaka Polska" czy "czyja Polska"? Słuchałem tych słów ze zdumieniem, problem "czyja Polska" był już bowiem wtedy przesądzony. Jeśli przez pytanie "czyja Polska" rozumieć kwestię, do kogo ma należeć władza, to w systemie demokratycznym - a na taką drogę Polska już od połowy 1989 r. weszła - przesądza o tym decyzja narodu wyrażana w wolnych wyborach. Jeśli zaś rozumieć to pytanie jako zakwestionowanie pewności, że nie ma już zagrożenia dla samej istoty demokratycznego procesu, to przy takim zakwestionowaniu tym bardziej ważna jest stabilizacja świeżo odzyskanej demokracji. Tymczasem pytanie: co jest ważniejsze "jaka Polska" czy "czyja Polska?", padło w kontekście pierwszej manipulacji teczkami, co samo w sobie stanowiło zachwianie stabilizacją państwa i na długo zatręło atmosferę życia politycznego. Odtąd "zamazanie", przeciw któremu protestował Herling, ustąpiło miejsca zatruciu, które stale będzie powracać. Nie byłem rzecznikiem ani zwolennikiem "zamazania". Przy Okrągłym Stole byliśmy dwiema stronami. W czasie prowadzonego dialogu zrozumieliśmy lepiej uwarunkowania drugiej strony, tak jak oni zrozumieli lepiej nasze, ale pozostaliśmy stronami. Także później. Wtedy również nie wypatrywałem jakiegoś drugiego kompromisu historycznego poza tym, jakim był Okrągły Stół.

Jeśli w polityce ważny jest styl postępowania, to o taki mi chodziło. O naszym stosunku do formacji postkomunistycznej miały przesądzać względy rzeczowe. Miernikiem była rzetelność przeobrażeń w SLD. A z tym było różnie. Występował tam zarówno kameleonizm polityczny, zjawisko które kiedyś tak nazywał Stanisław Stomma, czyli łatwe przefarbowywanie skóry, jak i - rzadziej - głębszy obrachunek z własną przeszłością. A także dochodzenie do lewicowej formacji ludzi młodych. W każdym razie na zmiany sięgające w głąb świadomości polskiej lewicy, której miejsce na mapie politycznej zajęła niemal wyłącznie formacja SLD, trzeba było woli politycznej i czasu. W tym sensie zwycięstwo SLD w wyborach 1993 r. - po dokonanych tak nierozważnie przez obóz posierpniowy obaleniu rządu Hanny Suchockiej - przyszło za wcześnie. Podobnie jak zwycięstwo Aleksandra Kwaśniewskiego w rywalizacji prezydenckiej z Lechem Wałęsą. Ani jedno, ani drugie przez dużą część Polaków - z przyczyn psychologicznych - nie mogło zostać przyjęte wtedy jako normalna rotacja występująca w systemie demokratycznym.

Dla zwolenników uzdrowienia Polski powszechną i bezpardonową lustracją stanowiły one dowód odzicia komunizmu, ciągle nieprzezwyciężonego. Mimo że podobne przesunięcia wyborczego wahadła, wynikające przede wszystkim z trudności procesu transformacji, następowały w tym samym czasie w innych krajach, także tych, które miały lustrację w większej niż my mierze za sobą. SLD, będąc u władzy, nie zmienił jednak zasadniczego kierunku nadanego w 1989 r. polskim przeobrażeniom. Porażka natomiast, która w 2005 r. ściągnęła tę partię w dół sceny politycznej, nastąpiła nie wskutek nagłego przebudzenia się Polaków z poczuciem zagrożenia odradzaniem się komunizmu, lecz w wyniku splątania polityki SLD z rozpowszechnianiem się korupcyjnych i korupcjogennych zachowań oraz z łapczywością na stanowiska dla swoich. Rada publicystki "Gazety Wyborczej" Ewy Milewicz, że partii o tych korzeniach wolno mniej, nie znalazła zastosowania. Lewicy trudno się dziś pozbierać i odzyskać własną tożsamość.

Naturalny w systemie demokratycznym podział na walczące ze sobą obozy polityczne - na lewicę, centrum i prawicę - był trudny do udźwignięcia dla formacji posierpniowej, jak dla formacji postkomunistycznej.

Pytanie, czy nowa polska lewica, jaka może powstać, i centrum oraz mająca dziś - przecież nie na zawsze - tak zdecydowaną przewagę liberalna i konserwatywna prawica zdolają udźwignąć tę koegzystencję polityczną, pozostaje istotne dlatego, by przy wszystkich różnicach występujących w walce politycznej nie było rozdzielenia na Polskę naszą i waszą. Okazuje się, że sprawę grubej kreski można rozpatrywać jeszcze od innej strony jako kwestię świadomego manipulowania pamięcią. Taką właśnie debatę o pamięci historycznej i jej wykorzystywaniu jako narzędzia władzy - skutecznym lub nie - przeprowadziło pod koniec 2007 r. grono politologów w Fundacji Stefana Batorego. Grubą kreskę przywołał w tej debacie Marcin Król, przedstawiając trzy przypadki manipulowania pamięcią dla potrzeb skądinąd ważnych zadań politycznych: politykę de Gaulle'a w powojennej Francji przechodzącą ponad różnicami w zachowaniu Francuzów podczas wojny i okupacji, politykę Piłsudskiego po 1919 r. zmierzającą do stworzenia wspólnoty politycznej wokół idei państwowości (BBWR), negującą wartości demokracji i znaczenie w niej sporu politycznego oraz politykę grubej linii po 1989 r.

"Mazowiecki - wywodził w tej debacie Marcin Król - podobnie jak de Gaulle, pamiętając o wszystkich różnicach historycznych i politycznych, chciał zakończyć spór. Pragnął przekonać: zaczniemy budować Polskę, wielką i wspaniałą ojczyznę. Machnijmy ręką na to, kto był ubekiem, a kto nim nie był. Zajmijmy się wspólnie tworzeniem przyszłości. Próba okazała się politycznie nieskuteczna. Czy w ogóle mogła się powieść? Nie chcę wchodzić w dyskusję na ten temat ani oceniać pomysłu. Przedstawiam jedynie intencję". Dwaj dyskutanci Dariusz Gawin i prof. Zdzisław Krasnodębski, którzy podjęli temat grubej kreski, dali własne oceny. Dariusz Gawin: "Kluczową sprawą związaną z manipulacjami pamięcią jest problem dumy. Charles de Gaulle określił przeszłość grubą linią, ale równocześnie powiedział Francuzom: musicie być dumni, Francja jest wielka i ma swoje przeznaczenie. I odniósł ogromny sukces. Natomiast polityka historyczna III Rzeczypospolitej w latach dziewięćdziesiątych poniosła klęskę, ponieważ panicznie bano się połączenia 'grubej linii' i dumy. Wybrano tylko to pierwsze".

Zdzisław Krasnodębski natomiast stwierdzał: "Tadeusz Mazowiecki też chciał budować wspólnotę i - moim zdaniem - w pewnym stopniu była to udana próba. Tylko że ja źle się czułem w tej wspólnocie. Pewna grupa została zmarginalizowana. To był koszt tak sformułowanego projektu. Zakładano wspólnotę z członkami PZPR-u, ale nie z działaczami 'Solidarności Walczącej', z radykałami, nacjonalistami. Można się zastanawiać, dlaczego ten projekt nie skończył się pełnym sukcesem. Czego zabrakło? (...) Niektórzy twierdziliby, że zabrakło pierwszego ostrego cięcia. Rozliczenia, o które tak ostro dopomina się Jarosław Marek Rymkiewicz. Uspokojenie zawsze przychodzi później. Konrad Adenauer mógł zasypywać podziały w powojennych Niemczech, ponieważ wcześniej alianci dokonali denazyfikacji.

Tadeusz Mazowiecki, inaczej niż Charles de Gaulle, nie powiedział nam, gdzie była prawdziwa Polska. To stanowiło problem. We wspólnocie w ten sposób stworzonej bardzo źle się czułem. Wolę być we wspólnocie z ludźmi z 'Solidarności Walczącej'. III RP również była oparta na władzy, na przemocy symbolicznej, na marginalizacji i wykluczeniu. Ona wykluczała jednych, ale włączała innych, którzy - moim zdaniem - w demokratycznej, pluralistycznej i opartej na prawie wspólnocie powinni zostać pociągnięci do odpowiedzialności" ("Pamięć jako przedmiot władzy", Warszawa 2008).



Gdzie jest prawdziwa Polska, nie trzeba było oznajmiać, bo to się wtedy czuło, a tę swoją wiedzę większość narodu wyraziła w czerwcowych wyborach. Nie będę, nie chcę polemizować z przytoczonymi tu argumentami, szanując prawo do ich wysunięcia. Porównania historyczne zresztą zawsze są tylko w części prawdziwe, bo z założenia nie biorą dostatecznie pod uwagę różnicy sytuacji, w jakich wydarzenia się działy.

W tym przypadku różnicy między wolną Francją czy powstającymi pod opieką aliantów z kolan Niemcami a sytuacją Polski w 1989 i 1990 r. dokonującą pierwszego wylotu w obozie komunistycznym. Pewną odpowiedzią na argumenty podjęte w przytoczonych wypowiedziach niech więc będą fragmenty moich wystąpień z tamtego czasu:

"Ważną sprawą jest już dziś stosunek do tych ugrupowań politycznych - większych lub mniejszych - które pozostają poza parlamentem. Stają one także przed wyborem swego miejsca w procesie przemian, jaki nabrał w Polsce przyspieszenia. Odnoszę to także do tych sił radykalnych, które wykazywały niezadowolenie z ustaleń Okrągłego Stołu. Niezadowolenie to może być siłą twórczą, jeśli będzie nacechowane również poczuciem odpowiedzialności za trudne sprawy, jakie przed nami stoją" (exposé z 12 września 1989 r.). "Możemy być jako naród dumni z naszej walki, z naszego niepokornego pragnienia wolności. Mamy prawo do dumy również ze stylu przechodzenia do demokracji: bez przemocy, bez brutalnie manifestowanej wrogości, bez aktów zemsty. Nie oznacza to zapominania ani wybaczenia doznanych w przeszłości krzywd, cierpień i zniszczeń. Ten zamknięty już na szczęście rozdział historii wymaga zdecydowanego osądu moralnego. Eliminujemy i będziemy w dalszym ciągu likwidowali wszelkie pozostałości starego ustroju, ale w sposób zgodny z prawem. Jest rzeczą naturalną, iż ludzie współodpowiedzialni za stan kraju są przez obywateli w demokratyczny sposób eliminowani z pozycji władzy, odpowiedzialności i społecznego prestiżu" (przemówienie w Sejmie z 6 lipca 1990). W grudniu 1992 r. zostałem zaproszony przez nieżyjącą już prof. Iję Lazari-Pawłowską na Ogólnopolską Konferencję Etyków, by mówić o sprawach związanych z grubą linią i jej etycznymi aspektami. Przedstawiając mój punkt widzenia, podzieliłem się wówczas z zebranymi tkwiącą we mnie, mimo wszystko, wątpliwością, że jednak pewna niesprawiedliwość zostaje. Mówiłem o tym, iż wielu ludzi, zwłaszcza w ośrodkach prowincjonalnych, ma poczucie, że dawni uprzywilejowani mają się nadal lepiej niż inni, bo mieli lepsze możliwości startu do nowych warunków. Mówiłem, że przezwyciężyć to można tylko, eliminując ich w drodze wyborów w społeczności lokalnej. Zresztą to samo dotyczyło środowiska naukowego. Ta rozmowa została mi w pamięci jako podjęcie prawdziwego, a nie zmistyfikowanego problemu etycznego, sprzeczności, przed jakimi staje polityk, dokonując wyborów. Pokojowa i ewolucyjna droga miała swoją cenę. Czy jednak można było jej uniknąć, nie ryzykując czegoś większego? "W myślach napisałam do pana bardzo dużo listów dotyczących tej sprawy - powiedziała na tym spotkaniu prof. Lazari-Pawłowska. - Otóż ja się całkowicie solidaryzuję z pańskim stanowiskiem i nie widzę innej możliwości. Z kolei rozumiem odczucie ludzi i też czuję się nieswojo, dlatego że rozumiem, iż ludzie oczekują sprawiedliwości w tym sensie, o jakim pan mówił, i sądzę, że nie do końca coś tutaj zostało załatwione, i skłonna jestem szukać czegoś, co by wyszło naprzeciw tym oczekiwaniom ludzi. Ale jeśli przyjrzeć się bliżej, to czym są te oczekiwania? W gruncie rzeczy, są one jednak podyktowane chęcią jakiegoś odwetu. Przecież właściwie tak jest. Wydaje mi się, że tu trzeba bardzo wnikliwie badać sprawę sprawiedliwości, ale to właściwie może być tylko sprawiedliwość prawa - innej nie ma. Wszystko inne to są oczekiwania w stosunku do tych ludzi, z którymi mamy do czynienia.

Ludzi, którzy kiedyś wyrzadzili swoim kolegom krzywdę, wykorzystując swoją pozycję polityczną, ale to, co robili, nie było w ramach przestępstwa. I teraz zachowują się jak gdyby nigdy nic i chcą wszystkie swoje dawne pozycje zachować. To można obserwować także w życiu akademickim".

Przytoczę jeszcze dwa fragmenty z tej debaty. "W tym, co pan mówi, wyczułam pewną wątpliwość moralną. Tak jakby pan chwilami również nie był pewien, czy ci, którzy narzekają, że nic się nie zmieniło, że była nomenklatura ma lepszy start i że w związku z tym mają oni poczucie krzywdy - jakoś mają rację. Miałam wrażenie, że pan dostrzega tu pewną wątpliwość moralną niezależną od nieporozumień i dezinterpretacji" (dr hab. Ludmiła Łapińska).

"Wydaje mi się, że decyzja, która spowodowała to, że w ogóle padło sformułowanie 'gruba linia', było konsekwencją przyjęcia pewnej filozofii walki. Ta filozofia zakłada ewolucyjną przemianę w naszym kraju i może można byłoby potraktować ten problem jako cenę, którą przychodzi nam zapłacić za tę drogę, którą wybrał pan jako przedstawiciel grupy ludzi podejmujących w owym czasie decyzję.

Wiem, że ta cena jest bolesna dla wielu ludzi, ale ponieważ nie widzi pan - i my również - innej drogi niż prawo regulujące tę sprawę - a prawo jest takie, jakie jest - to część ludzi prawdopodobnie będzie miała do końca poczucie krzywdy. (...) Ale jest nadzieja, że kiedyś to zrozumieją. To jest pierwsza rzecz, którą chciałam powiedzieć. Druga jest taka: ja bardzo długo rozumiałam to pojęcie grubej linii tak, że pan po prostu proponował nowy styl uprawiania polityki.

Mianowicie, że jest to podjęcie odpowiedzialności za to, co się robi, i że w tym momencie pan to zobowiązanie wobec społeczeństwa podejmuje. Nigdy nie przypuszczałam, że będzie to interpretowane jako odcięcie możliwości rozliczenia kogokolwiek za popełnione przestępstwa albo jako zapomnienie krzywd, które miały miejsce w tym kraju. Ja to traktowałam jako nowy styl uprawiania polityki, który przyjmuje odpowiedzialność za to, czego się człowiek w tej trudnej sytuacji podejmuje. Sądziłam, że pan w imieniu ekipy, którą pan powołuje, takie zobowiązanie podjął" (dr Ewa Włodarczyk-Nowicka).

Byłbym człowiekiem naiwnym i niemądrym, gdybym wtedy, w 1989 r., mówiąc, iż przeszłość odkreślamy grubą linią, sądził, że można się pozbyć przeszłości i jednym ruchem ręki ją skreślić. Mówiłem równocześnie, iż hipoteka przeszłości będzie ciążyć nad okolicznościami, w których przychodzi nam działać. W oczywisty sposób odnosiło się to do stanu państwa, jaki dziedziczyliśmy. Do niewydolności scentralizowanej i zbiurokratyzowanej gospodarki, a także ciążenia zadłużenia z epoki Gierka, roztrwonionego konsumpcją i nieudanymi inwestycjami, a teraz wymagającego zdolności do spłacenia długów. Przed koniecznością uporania się z tym ciężeniem przeszłości stanęliśmy już w pierwszych dniach naszych rządów. Ściągnięcie pomocy zagranicznej, a zwłaszcza inwestycji kapitału zagranicznego do Polski, uwarunkowane było postawieniem gospodarki na nogi, nakreśleniem i podjęciem od zaraz jej gruntownej przebudowy. Jeśli, jak mówiłem, Polacy oczekiwali przede wszystkim tego, że może być lepiej, to odnosiło się to wtedy w największej mierze do wyrwania Polski ze swoistego stanu antyrozwoju, w którym tonęły wszystkie obietnice i próby reform. Świadomość tę mieli już nasi poprzednicy, ale brakło im zdecydowania, odwagi i społecznych możliwości zmierzenia się z tym, co w istocie rzeczy wymagało zmiany systemu. My byliśmy skazani na tę odwagę, której wymagała zmiana, i zmianę tę podjęliśmy, choć ani jej kosztów, ani długości jej trwania nie przewidzieliśmy. Gdybyśmy wtedy nie uczynili tej sprawy naczelnym zadaniem, gdybyśmy uznali, że skoro jej rezultaty nie przyjdą zaraz, a koszt społeczny dadzą o sobie znać, lepiej ją odłożyć i w miejsce wydobywania kraju z tego antyrozwoju zaaplikować igrzyska rozliczania się z ludźmi dawnego systemu, moglibyśmy bardziej przypodobać się tym, którzy nas potem za brak tych igrzysk potępiali, ale nie zdalibyśmy egzaminu z historycznej sytuacji.

Wbrew zaś krytykom jednego i drugiego naraz robić nie można. Ta świadomość wyznaczała ewolucyjną drogę przemian. Opcja zerowa zastosowana do całego odziedziczonego aparatu państwa była nie tylko ze względu na jej skutki w otaczającym nas obozie niemożliwa, machina państwowa nie mogła z dnia na dzień przestać się poruszać. Jej tryby trzeba było wymieniać zdecydowanie, ale stopniowo. Z dzisiejszej perspektywy widać, jak często taka opcja zerowa może prowadzić do rozkładu państwa (Irak). Mówiąc natomiast o hipotece przeszłości, która będzie ciążyć nad przebudową Polski, z pewnością nie przewidzieliśmy jednego: stopnia jej ciążenia na świadomości i postawach ludzi. Nie wzięliśmy w rachubę tego, że choć większość narodu chce zmiany i w wyborach czerwcowych dała temu wyraz, to jednak nie tylko będzie spodziewać się szybszego przełożenia tych zmian na poprawę warunków życia, ale także nie odmieni z dnia na dzień swego nastawienia oczekującego wszystkiego od państwa. Byłem o tyle świadomy tego faktu, iż od pierwszego do ostatniego ze swoich wystąpień nie składałem niemożliwych do spełnienia obietnic. Miałem ogromny szacunek dla poparcia, które rząd i ja jako premier otrzymywaliśmy przez pierwszy okres od społeczeństwa. Wiedziałem zarazem, że to społeczeństwo tyle razy było karmione obietnicą, iż tylko na pewien czas ma zacisnąć pasa, a potem zostawało zawiedzione. Obawiałem się powrotu przeświadczenia, że i tym razem staje się podobnie. Myślę, że fenomen Tymińskiego na tym właśnie polegał, iż wstrzelił się on swymi prymitywnymi obietnicami w moment pierwszego rozczarowania i taki stan nastrojów społecznych.

Wcześniej jednak, nim to nastąpiło, my sami, choć zdawaliśmy sobie sprawę z ograniczeń w wytrzymałości społeczeństwa, nie ogarnialiśmy tego, co było ciężeniem kilkudziesięciu lat - czy może też kilku wieków - że postawy ludzi z biernych i oczekujących zmieniają się dopiero powoli na kreatywne i odpowiedzialne za możliwości własnego rozwoju. Rachunku, jak to oddziałuje na całość życia narodowego, nikt nigdy nie przeprowadził, bo go przeprowadzić nie sposób.

Ale uwzględnić go trzeba. Wtedy jednak, nastawieni na ewolucyjne przemiany, byliśmy sami w jakiejś mierze rewolucjonistami, którzy tego faktu i jego skutków nie ogarniali. Wymiar przeobrażeń, które przeprowadzaliśmy, był dla nas tak wielki, iż wydawało się, iż sam przez się już zmienia postawy ludzi. Jerzy Jedlicki, który przed dziesięciu laty do ofiarowanej mi książki napisał "Wariacje na temat grubej linii", uczynił znamienną uwagę: "Rządowi Mazowieckiego zarzucono wkrótce wstrząsowe działania w ekonomice i unikanie wstrząsów w polityce."

Linia oddzielająca nowy czas od przeszłości była więc w oczach krytyków jednocześnie za gruba i za cienka". Wcześniej zaś, snując rozważania o ludziach związanych z systemem komunistycznym w różnych czasach i z różnymi motywacjami aż po dominację karierowiczostwa i oportunistów, opatrzył je pytaniami: Kto miał odpowiadać za komunizm? Za którą jego fazę? Każdy za siebie czy wszyscy za wszystko? Gruba linia - pisał dalej - nakreślona przez Tadeusza Mazowieckiego zaraz w pierwszym dniu jego misji rozgraniczała zakresy historycznej odpowiedzialności, ale te trudne pytania pozostawiała otwarte". Rozgraniczenie, o którym mówi Jedlicki, odnosiło się zapewne do odróżnienia odpowiedzialności za nieosądzone zbrodnie i przestępstwa, która nie może być objęta winą zbiorową, od odpowiedzialności historycznej, która jest moralną oceną tamtych czasów.

Hipoteka, jaką dziedziczyliśmy, zawierała więc nie tylko to wszystko, co składało się na polityczny i gospodarczy stan państwa, lecz też ciężar doznanych przez społeczeństwo krzywd i niesprawiedliwości. Rozliczenie tej hipoteki nie mogło wtedy stać się pierwszoplanowym zadaniem polityki odzyskiwanego państwa dokonywanej jednym cięciem. Musiało stać się domeną wymiaru sprawiedliwości z jednej, a wynikiem procesu demokratycznego oraz oceną historii z drugiej strony.

Działanie wymiaru sprawiedliwości w osądzaniu tego, co osądzane być powinno, było zbyt powolne nie tylko w czasach tamtego początku. Ocena historii mogła natomiast zostać dokonana tylko w procesie debaty, która kształtowałaby polską świadomość i o której sami moglibyśmy powiedzieć, że jest ona sprawiedliwa, a nie stanowi jedynie swego rodzaju rekompensaty za niespełniony odwet, jakiej potrzebę często odczuwają umysłowości, które charakteryzuje spóźniony "antykomunizm po komunizmie".

Jeśli skłonny byłbym i dziś sądzić, że debata taka powinna uwzględniać prawdę historyczną w całej jej złożoności, która obok rzeczy strasznych i wymagających potępienia obejmuje również to wszystko, co składało się na zachowanie polskiej odmienności, a co w różnym stopniu, w różnych okresach charakteryzowało tamten czas przystosowania i oporu, to nie stanowi to w żadnym stopniu próby relatywizowania moralnych ocen. Zasada odpowiedzialności zbiorowej, jaka musiałaby kierować procesem dekomunizacji, naruszałaby normy sprawiedliwości. W czasach "Solidarności" - nie mówiąc już o wcześniejszej opozycji - nie patrzyliśmy na to, skąd kto przychodzi, jeśli włączał się do wspólnej walki. Przetworzenia w polskiej świadomości tego wszystkiego, co składa się na złożoność polskiej historii najnowszej, nie można zastąpić fascynacją teczkami UB. Teza, że prawda (z teczek) nas wyzwoli, stała się karykaturą sprawiedliwości w czasie, gdy przerzucano się pomówieniami i z lustracji uczyniono polityczną grę. Stanowiło to dźwignię do wprowadzenia nowego początku, IV RP, tak rozumianej, by zdezawuować lub przynajmniej pomniejszyć to, co od Okrągłego Stołu się stało.

W sporach o początki III Rzeczypospolitej uderzono w intencje tych, którzy ponosili wówczas odpowiedzialność za podjęcie negocjacji z władzami PRL i później za wybór dalszej drogi. Jest to przykre i boli, ale można też powiedzieć, że tak bywa w politycznych polemikach. Istotniejsze jest to, że zatrucie, jakie nastąpiło w walce politycznej i jakie trwa do dziś, godzi w samo serce wspólnoty narodowej. Ze zwycięstwa 1989 roku czyniono coś wątpliwego i pokracznego, zarzucając słabość i niewykorzystanie koniunktury pozwalającej jakoby na dużo więcej, dużo szybciej i dużo lepiej. To zwycięstwo nie było darowane ani z góry pewne. Zarazem to rzadkie w naszej historii zwycięstwo uzyskane bez przelewu krwi nie miało blasku zwycięstw i klęsk militarnych, do których czczenia Polacy są przyzwyczajeni. Teraz z ochotą obdzierano je z wszelkiego blasku, równocześnie wymawiając światu, że niedostatecznie je zauważa. Nie wzbraniam się przed krytyką tamtego inauguracyjnego czasu. We wspomnianym tekście Jerzy Jedlicki tak oceniał: "Można oczywiście zastanawiać się, czy Mazowiecki nie postępował niekiedy z przesadną ostrożnością albo z nadmiernym zaufaniem. W szczególności wydaje się, że można było i należało przejąć wcześniej kontrolę nad MSW i MON-em, i przeciąć w ten sposób trwający w najlepsze proceder niszczenia dokumentów przeszłości. Generalnie jednak z perspektywy czasu można uznać, że zarówno polityczne, jak i moralne korzyści tej ewolucyjnej i pojednawczej strategii przeważają nad jej kosztami, wśród których najczęściej wymieniano się brak autorytatywnego osądu prominentów PRL-u" (Jerzy Jedlicki "Wariacje na temat grubej linii", [w:] "Tadeusz Mazowiecki - polityk trudnych czasów", Warszawa 1997).

Gdy mowa o przesadnej ostrożności czy zaniedbaniach, sam dołożyłbym do tej krytyki brak święta, którego społeczeństwo potrzebowało w tamtych przełomowych dniach. Pamiętam, po czerwcowych wyborach pelen pasji artykuł Wiktora Woroszyńskiego, w którym apelował do liderów Komitetu Obywatelskiego "Solidarności": pozwólcie nam się cieszyć, podczas gdy my byliśmy zafrasowani tym, czy przypadnięcie listy krajowej, upokarzające naszych partnerów, nie skieruje ich ku jakiejś niebezpiecznej dla kraju nerwowej reakcji. Nie tylko my zresztą obawialiśmy się takiej reakcji, wielki przyjaciel Polski i wybitny dyplomata amerykański ambasador w Warszawie John Davis jr w tym samym duchu raportował do Waszyngtonu. Święta jednak zabrakło. I wtedy, 12 września po powołaniu rządu. Trzeba było oddać je w ręce poetów i artystów. Gruba linia w świetle tego święta ukazałaby się społeczeństwu wyraźniej jako początek nowego czasu.

Przytoczę jeszcze opinię Stanisława Stommy. Pisał on: "Zgadzam się z poglądem tych przedstawicieli naszej przez długie lata walczącej opozycji, że dobrowolne oddanie władzy, bez walki, stworzyło sytuację szczególną, zobowiązującą obie strony. Siłą rzeczy powinno to zamykać dawne polityczne rozrachunki, stwarzając nieodzowną abolicję obejmującą błędy polityczne i grzechy przeszłości. Co oczywiście nie przekreśla odpowiedzialności karnej za popełnione zbrodnie ani - tym bardziej - krytyki związanej ze sprawowaniem władzy.



Wygłaszając po wyborach exposé programowe nowego rządu, jego premier Tadeusz Mazowiecki posłużył się parafrazą 'grubej kreski', która rozdziela przeszłość i przyszłość. Ten zwrot retoryczny został brutalnie zaatakowany i albo przez perfidię, albo przez głupotę był zniekształcany. 'Gruba kreska' nie miała oznaczać zamknięcia krytycznych ocen przeszłości i nie zapowiadała bezkarności dla zbrodni, które nie były

ścigane. Ocena historii jest dla każdego narodu sprawą doniosłą. Dyskusje na temat przeszłości toczą się swobodnie i długo będą się ciągnęły. 'Gruba kreska' winna być rozumiana jako zdecydowane przejście do nowych, demokratycznych kryteriów i metod rządzenia" (Stanisław Stomma "Wylamując się z fatalizmu historii", [w:] "Tadeusz Mazowiecki – polityk trudnych czasów", Warszawa 1997).

Czy dziś, po dwudziestu latach, możliwe jest przezwyciężenie tego sporu o początki III Rzeczypospolitej? Czy może, przeciwnie, rozdziela nas w tym sporze jakiś nieprzekraczalny już rów? W historii takie trwające długo i nigdy do końca nieprzezwyciężalne spory się zdarzają. Miały je i mają też inne narody. Problem w tym, jak dalece spór ten pozostawia za sobą toksyny wzajemnej niechęci, a nawet pogardy.

Można zrozumieć tych, którym wydawało się, że odkreślenie w 1989 roku przeszłości grubą linią stanowi jakieś zlekceważenie rachunku krzywd. Tak nie było, ale ten cień padł na przyjętą wtedy drogę postępowania i był wykorzystywany. Przeprowadzenie Polski przez trudny okres przejścia od stanu zależności do niepodległości, od monopartyjnego autorytaryzmu do demokracji, od strukturalnej zapaści gospodarczej do sytuacji rozwoju - wymagało skierowania się ku przyszłości. Wymagało konsekwencji w przeprowadzaniu przemian, rozważań w liczeniu się z zewnętrznymi okolicznościami i niewystawiania tych przemian na ryzyko. Bardziej łączenia niż dzielenia.

Moralnie za tą linią postępowania stało przekonanie o wierności temu, co w sierpniu 1980 r. wytyczyło drogę naszej pokojowej rewolucji. Chciałoby się więc rzec: toczmy spory o przeszłość i pamięć historyczną, zostawmy historii ocenę tamtego czasu, ale zdobądźmy się już na to, by nie ściągać się w dół i nie pomniejszać tego, co było w nim wielkie, a co jest wspólnym polskim dziedzictwem i roku 1980, i 1989. Rany leczą się jednak powoli i wymagają wylizania ich do końca.



28. października

29. października

Kard. Nycz: Mazowiecki zapisał się w historii Polski i Europy, a także w historii Kościoła na przełomie XX i XXI wieku, a nie przyszło mu żyć w łatwych czasach...

- „Nielatwe były czasy w latach pięćdziesiątych, kiedy był dorosłym człowiekiem i starał się służyć Kościołowi jak najlepiej potrafił. Nielatwy był też okres Solidarności, której był doradcą i współtwórcą. Nielatwy był również okres stanu wojennego, który przeżywał będąc internowanym. Przyszedł wreszcie rok 1989 - czas przełomu, w którym uczestniczył. I przejdzie do historii jako człowiek, który był pierwszym premierem w wolnej Polsce”.

„Śmierć Mazowieckiego - jest stratą i smutkiem, choć wszyscy mogli się jej spodziewać, bo miał 86 lat. Jednak do końca był czynny, do końca zabierał głos w bieżących sprawach i trzeba było z tym głosem się liczyć, nawet jeżeli człowiek nie końca się z nim zgadzał. - Był to partner do dyskusji na tematy współczesne świata i Kościoła i to partner bardzo znaczący i bardzo ważny”.

Zdaniem hierarchy odszedł „...człowiek wielki, ważny nie tylko dla spraw Polski, ale także dla Kościoła. Nie bez powodu Tadeusz Mazowiecki został odznaczony Orderem Orła Białego, ale był również odznaczony Kawalerem Orderu św. Grzegorza przez papieża Benedykta XVI. - W przededniu Wszystkich Świętych i Dnia Zadusznego przychodzi nam pożegnać człowieka, który dla Polski i dla Kościoła uczynił bardzo wiele”.

- Media wspominają Tadeusza Mazowieckiego -

BBC: Nadzorował przejście Polski do demokracji i wolnego rynku, poprawił stosunki polsko-niemieckie, budował pozycję Polski w Europie. Jeden z architektów Okrągłego Stołu, negocjacji między przywódcami komunistycznymi a opozycją, które otworzyły drogę do wyborów w 1989 r. Zdecydowanie popierał wejście Polski do Unii Europejskiej. Był „jednym z ojców polskiej wolności i niepodległości”. Mocno wierzył w możliwość wynegocjowania odejścia od systemu komunistycznego. W 1989 r. został premierem i nadzorował polityczne i gospodarcze przejście Polski do demokracji i wolnego rynku.

Reuters: Był jednym z architektów Okrągłego Stołu, który umożliwił porozumienie zainstalowanych w Polsce przez ZSRR komunistycznych władz i opozycji i stał się zaczątkiem demokratycznej transformacji.

Frankfurter Allgemeine Zeitung: Pierwszy niekomunistyczny premier Polski. W latach 80. był jednym z najważniejszych doradców „Solidarności”. Brał aktywny udział w obradach Okrągłego Stołu. Jako premier waleśnie przyczynił się do poprawy stosunków niemiecko-polskich.

Helmut Kohl: Niemcy winni są Mazowieckiemu wdzięczność

„Niemcy winni są Tadeuszowi Mazowieckiemu wdzięczność za poparcie udzielone im przez niego po upadku muru berlińskiego oraz za rozpoczęcie nowego rozdziału polsko-niemieckiego porozumienia” - napisał były kanclerz Niemiec Helmut Kohl w oświadczeniu dla PAP.

„Tadeusz Mazowiecki był szczerym, miłującym wolność człowiekiem i znaczącym politykiem. Z niemieckiego punktu widzenia należy zaznaczyć, że zawsze był przyjacielem Niemców” - podkreślił polityk CDU, kanclerz RFN, a potem zjednoczonych Niemiec w latach 1982-1998.

Kohl podkreślił, że Mazowiecki jako pierwszy demokratycznie wybrany szef polskiego rządu współkształtował na eksponowanym stanowisku przełom i rozpoczęcie nowych czasów.

„Niemcy i Europejczycy winni są Tadeuszowi Mazowieckiemu za jego poparcie w dramatycznych dniach i tygodniach po upadku muru berlińskiego i za rozpoczęcie nowego rozdziału polsko-niemieckiego porozumienia przede wszystkim wdzięczność”.

Mazowiecki i Kohl tworzyli w latach przełomu 1989/1990 podstawy nowych stosunków między Polakami i Niemcami. Przełomem była rozpoczęta 9. listopada 1989 roku wizyta Kohla w Polsce. Podczas mszy w Krzyżowej obaj szefowie rządów objęli się, a gest ten stał się symbolem pojednania polsko-niemieckiego.



Podpisana wówczas wspólna deklaracja, składająca się z 78 punktów, stanowiła zwrot we wzajemnych stosunkach. W kolejnych latach oba kraje podpisały układ graniczny (1990) i traktat o dobrym sąsiedztwie (1991).

Od 2010 r. do śmierci poświęcił się głównie budowaniu pozycji Polski w UE.

DPA: Wieloletni działacz na rzecz obrony praw człowieka, katolicki pisarz, doradca późniejszego prezydenta Lecha Wałęsy. W 1989 r. wziął udział w rozmowach Okrągłego Stołu, aby wynegocjować pokojowe przejście od komunizmu do demokracji.

RIA Novosti: Pierwszy pokomunistyczny premier Polski, mianowany w sierpniu 1989 r. przez prezydenta Wojciecha Jaruzelskiego - oznaczało to koniec autorytarnych, socjalistycznych rządów w Polsce. W ostatnich latach był doradcą obecnego prezydenta Bronisława Komorowskiego.

Der Spiegel: Katolicki pisarz, obrońca praw obywatelskich zmarł po długiej chorobie.

Na początku lat 80 był jednym z głównych doradców ruchu związkowego „Solidarności”. W 1958 r. stworzył katolicki miesięcznik „Więź”, w latach 80 został naczelnym związkowej gazety „Tygodnik Solidarność”. W latach 1981-1982 siedział w więzieniu, w trakcie strajku w stoczni gdańskiej należał do doradców późniejszego prezydenta Lecha Wałęsy. W 1989 r. wziął udział w obradach Okrągłego Stołu, żeby negocjować pokojowe przejście od komunizmu do demokracji.

Głęboko wierzący katolik, jako premier chciał odgradzić przeszłość „grubą kreską”. Sprawował urząd w latach 1989-1990, w tym czasie polityczni przeciwnicy w łonie „Solidarności” zarzucali mu, że ze swoim pojednawczym podejściem, uniemożliwia rozliczenie się z komunistyczną przeszłością Polski. W latach 1992-1995 był wysłannikiem ONZ w byłej Jugosławii. Zrezygnował z tej funkcji po masakrze w Srebrenicy. Za dokonania swojego życia, otrzymał wiele międzynarodowych nagród. Republika Federalna Niemiec w 2000 r. przyznała mu nagrodę „Wizjonera pokojowej rewolucji”, a za wkład w obalenie podziału Europy, Order Zasługi Republiki Federalnej Niemiec.

T. Mazowiecki, 1er dirigeant polonais non communiste, est mort

LE LUNDI 28 OCTOBRE 2013 À 11:22 Par [Grégoire Lecalot](#)



Tadeusz Mazowiecki, ancien de Solidarité et premier dirigeant polonais non communiste, est mort à 86 ans. Tadeusz Mazowiecki, le Premier chef de gouvernement non communiste en Pologne et dans le bloc communiste à l'Est est décédé lundi à l'aube dans un hôpital à Varsovie à l'âge de 86 ans, selon ses proches. Considéré comme un des pères de l'indépendance polonaise, il avait déjà été annoncé mort par les communistes dans les années 80.

„Muszę spieszyc się prędko”



Solidarność PW – Pismo OZ NSZZ „S” w PW wydawane przez Komisję Zakładową
e-mail: nszz@ca.pw.edu.pl; adres internetowy; www.solidarnosc.pw.edu.pl
tel. 234 7872; tel./fax 22 234 53 43